



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

NA WERENDZIE.

(Pogawędka).



Doprawdy, że tylko dla honoru wiosny i ażeby nagłówkowi nie kłamać, człowiek kiedy niekiedy *na werendę* wyjdzie i na zachmurzone niebo, a mało umajone drzewa spojrzy.

Miesiąc róż i słowików ma się już ku końcowi, a Bogiem a prawdą, nigdzie róż ogrodowych nie widać, a jeżeli gdzie słowik się ozwie, to tak lekliwie, tak smutno, jak gdyby narzekał, że z krain auzońskich tu przyjechał, gdzie go tak niegościnnie przyjęto. Ale, ptaszku kochany! żalu nie miej do tej wiosny i słońca naszego; nie lepiej się dzieje pod pięknym niebem Włoch i Iberyi, — „we wszystkich północnych i środkowych prowincjach Hiszpanii śnieg pada“ — czytamy w telegramach — „w Madrycie termometr spadł o 2 stopnie niżej zera,“ w klasycznej Italii zimno klasyczne, w Szwajcaryi od mrozu cierpią pola i ogrody — a cóż już mówić o innych zakątkach globu naszego, gdzie rozbudziły się oddawna śpiące, a nawet uchodzące za wygasłe, wulkany, i miasta ludne w gruzy zamieniają, niosąc śmierć i zniszczenie. Drży ziemia, grzmoty w jej wnętrzu coraz to nową klęską grożą; ognista lava, dym gryzący, palący deszcz iskier i popiołów milowe zalewa przestrzenie; nawet z portów okręty umknąć nie mogą, lecz objęte pożogą nagłą, ulegają przemożnej

a wszystko niszczącej sile. Na ziemi i pod ziemią jakiś niepokój i zamęt i trwoga — coś się psuje... a może się poprawia; może przez nową próbę ognia świat przejść musi, ażeby się wyszlachetnić i uznać.

Człowiek pojedynczy czy zbiorowy niezadowolony jest z życia, jakie dziś prowadzi, chce rozsadzić duszącą kopułę cieplarni Maeterlinckowskiej, brak piersi jego powietrza, brak tchu, nieba, wszystkiego mu brak. Daremno mu świecić dziś w oczy purpurowym lachmanem wiedzy — on potrzebuje szczęścia. Okrzyku tego pragnienia żadna potęga nie zgłuszy, nie powstrzymają żadne systematy filozoficzne — wydziera się on z głębi każdej duszy ludzkiej, tej duszy, która jest *wszystkiem*, bo bez niej nie masz życia, nie masz pragnień, nie masz słońca, ciepła, ludzkości całej nie masz. Stoimy u progu zmian nieznanych nam jeszcze, poruszeń śpiących, ale niegasnących nigdy, wulkanów. Nie kwil więc ptaszku! oszukany bardzo wiosenny!... Nie znajdziesz pasterek, słuchających nuty twej tęsknej; przeminął czas złoty upojenia sielskich, fletni i miłostek!...

Nigdy może, jak w chwili danej, nie przedstawiało się nam z taką powagą — zadanie życia. Przeżywamy czas krytyczny; jak go przeżyjemy — o tem jutrzejszy dzień powie; przyszłość da świadectwo o naszym rozumie i godności...

Zbliża się czas, ot — ten zwyczajny czas, w którym — jedni dla poratowania zdrowia, inni — powiedzmy otwarcie — dla rozrywki,

wyruszą do „badów“ różnych. Zdaje się, że każde serce uczciwe, bez pytań żadnych, powinno dać wskazówkę i wykreślić kierunek podróży... Wszędzie jest dobrze pojechać, byleby nie do Kołobrzegu, do Kissingen i innych wód prusko-niemieckich. Po policzkach, jakie otrzymaliśmy od tych sąsiadów naszych, dalibyśmy sobie patent na zanik poczucia moralnego i ludzkiej godności. Pies bity zawarczy nieraz na chlebowodcę swojego, a tam i biją i chleba nawet nie dają. Świadectwo hańby wydalibyśmy sobie, gdybyśmy za drogowskaz wzięli — *via Berlin*. Jedna rzecz tylko wytłómaczyłby nas mogła — to, niemożność znalezienia wód innych na taką a taką niemoc.

Ale to byłoby dziwne, ażeby natura, tak bujna i hojna w pomysły, ziemię niemiecką tylko w stosowne wody uposażyła. Nie ubliżajmy jej, ani Opatrzności, niedorzeczne mniemanie to przypiszmy raczej nawykowi, zapatrzeniu się nawet lekarzy naszych w ową *zagranicę*, z pominięciem miejscowości leczniczych u nas. Częstokroć jednak lekarz w drażliwym położeniu się znajduje; niech powie pacjentce czy pacjentowi swojemu: „Proponuję pani lub panu Rymanów,“ a lekarz drugi szepnie: „Dlaczego nie Kissingen?“ Niech do wyboru te dwie miejscowości dadzą, na Kissingen wybór padnie, bo *Kissingen* brzmi lepiej, niż jakiś tam *Rymanów*; a zresztą czyż w Rymanowie może być źródło lepsze od Kissingeńskiego?... A tymczasem skład chemiczny zdrojowisk rymanowskich, od kissingeńskich nie różni się prawie w niczem,

a jeśli jest różnica, to niestety! — na korzyść Rymanowa wychodzi. Tak samo Reichenhall może być zastąpiony przez Ciechocinek, którego solanka jest bogatsza nie tylko od Reichenhalskiej, ale i od innych solanek zagranicznych. Tak samo się dzieje i z innymi źródłiskami, o czym przekonał nas dr. Dobrzycki w ostatnim odczycie swoim, o czym też pisała i „Medycyna.” Pomijając więc już to, że po zamianie wód niemieckich na nasze, nie tylko zdrowie nasze nie ucierpi, lecz, przeciwnie, poprawić się raczej może — mamy jeszcze w zysku... zachowaną godność naszą, to zdrowie duszy, które, bodaj czy nie więcej od fizycznego znaczy.

Czy pojedziemy więc do „badów” niemieckich i dziś, po zniewagach od Niemców doznanych?...

Zdaje mi się, że słyszę odpowiedź:

— My nie wiemy, to zależy od wskazówki lekarskiej.

Tak — bez wątpienia, ale wy, szanowni panowie i panie, nie wiecie może sami, z jaką pomocą, w wypadkach podobnych lekarzowi przyjść możecie.

Nie jeden z nich, znając wasze słabostki, rozkochanie się w zagranicy, uprzedzenie do wód li tylko zagranicznych — poprostu nie chce wymówić nazwiska Rymanowa, Ciechocinka, Nałęczowa czy Druskienik — wiedząc, że narażony będzie na złe mniemanie o sobie, na opinię, jaką rozsiejecie o nim, że: „chory jestem na katar żołądka, a ten do Rymanowa mnie wysyła,” lub będziecie podejrzewali lekarza o patryotyzm niewczesny i oczywiście nie posłuchacie rady podobnej, a szukać będziecie doktora, który wam koniecznie Kissingen zaleci. Lecz spróbujcie, gdy wam lekarz jakiś poleci nawet wody niemieckie — rzucić mu pytanie: „Czy nie możnaby ich krajowymi zastąpić?” — a przekonacie się wtedy, jaka odpowiedź będzie. Dobrze powiada Ochorowicz, omawiając kwestję wycieczek letnich:

„Kto ma poczucie swojej godności, kto wyżej stawia względy ogólne niż egoistyczne, kto ma subtelność wrażliwość na rzeczy moralnie wstrętne, ten do Niemiec nie pojedzie, chociażby nawet w naiwności ducha przypuszczał, że tamtejsze wody mogłyby go pewniej, niż inne, uzdrowić.”

I przytacza fakt bardzo charakterystyczny:

„Znam wypadki już z r. b., w których lekarz „bez sentymentów” zalecał choremu Reinerz, ale spotkał się ze stanowczą odmową. Wówczas wystąpił naprzód z pięknym frazeosem o niezależności stanu lekarskiego i niedorzeczności bojkotu w kwestyi zdrowia — (miał list od lekarza niemieckiego z Reinerz i chciał mu się odwdziżyć wysłaniem chorego) — a następnie dopiero, gdy pacjent oznajmił ponownie, iż do Niemiec nie pojedzie, zmuszony był przyznać, że z najzupełniej tym samym skutkiem może pojechać do — Nałęczowa.”

Otóż tacy do Niemiec nie pojedą, pojedają tylko ludzie pozbawieni wszelkiej społecznej ambicji, których nie ostrzegać chyba potrzeba.

Nie popełnię błędu, gdy powiem, że kobiety nasze czuć jeszcze i kochać umieją. Ta miłość i to poczucie krzywd, nie pozwoli godności naszej zwała się; mam nadzieję, że sprawę panie nasze w ręce swoje wezmą,

a wpływ ich błogosławionym się okaże. Zabrzmiał był niegdyś okrzyk: „Nie pojedziemy do Monaco!” — ale, niestety, trwał krótko; wy odezwiście się kobiety-Polki: „Precz z niemieckimi wodami!” i dokonajcie swego. Nie narzekajcie na ścieśniony obręb waszego działania — macie posłannictwo własne, i wpływ, i moc niezwykłą — prawie!...

Na sam początek pogawędki dzisiejszej wprowadziłem sprawę ważną, ważniejszą nawet, niż się na pozór zdaje, bo okrom tego, że godziłoby się mniej po macoszemu traktować ziemi naszej źródłiska — nieco też urosć w ambicji własnej powinniśmy, i — choć szanować kazać się. Wzbudzenie poszanowania tego, jest już, choć cząstkowem, zwycięstwem, a szanujących się nie traktują od „polnische Schwein,” lecz, bądź co bądź, liczyć się z nimi muszą, bo przy szanujących się jest charakter, przy charakterze niezłomność postanowień, przy niezłomności owej moc — wytrwanie — powaga, no — i zwycięstwo!

W przedostatnim numerze „Bluszczu” w odpowiedziach redakcyi przeczytałem zawiadomienie, że świeże kwiaty ze Lwowa mi przysłane, a przesłane przez ręce niewieście, zostały adresatowi doręczone. Oczywiście, że nie mogłem na tej krótkiej wzmiance redakcyjnej poprzestać, ażeby tym dłoniom kobiecym, które po raz drugi tak hojnie mnie obdarzają, podziękowania nie przesłać.

Jest-że co przyjemniejszego dla pisarza-poety, jak on kwiat z nieobeschniętą jeszcze rosą, a z tak daleka przysłany?... Czegoż on dowodzi, jeżeli nie wartości pewnej słów moich, za które, z odległości stu mil ślą mi podziękowanie?... Jeżeli je odczuło serce jedno, jedna myśl tylko zrozumiała — to jużem życia nie strwoił na marne, jużem podbił świat jeden, bo każda dusza ludzka jest światem odrębnym. Niosę więc Wam dzięki, dobre, kobiece dłonie, dłonie serdeczne, dłonie niezapominające!... Po latach długich pracy do kwiatka kwiatek przybywa i wieniec się splata, który, jeżeli nie czoło moje, to... moją trumnę uwieńczy. Dla przyszłości żyjemy, dla przyszłości pracujemy! Smutną byłaby myśl, że z ostatnim tchem piersi, nie otrzymamy nic — prócz zapomnienia!...

Snułbym bez końca jakieś fantazje na temat serc niewieściech, sławy i zapachu konwalii — gdyby nudna proza życia nie przywoływała mnie do porządku. Ale jak trudno jest przejść z poematu do prostej powieści, zacząć mówić o ploteczkach miejskich, o teatrzykach ogródkowych, które z powodu chmur, deszczu i zimna nie mogą jeszcze sezonu rozpocząć. Gdzież więc jest zająć najwłaściwiej, jeżeli nie na wystawę sztuk pięknych? Zachodzę tedy do Krywulki, gdzie wzbudzają pewną ciekawość rzeźby Flauma.

Dotychczas sądziłem, że każda sztuka piękna — *piękną* być powinna. Piękną pod względem formy, myśli, i architektonicznej budowy swojej, szczególnie w przedstawieniu grupy. Nie koniecznie może być piękną klasyczna powaga posągów greckich, niepokalana czystość linii, twarz idealna bez bruzd, guzów i brodawek.

To zależy od przedmiotu, jaki autor przedstawia. Ziewający chłop Mazura pięknym będzie doskonałym wykonaniem swoim; zata-

baczony bakałarz, jako typ, do tej samej kategorii należy, — ale jeżeli nos do pięści, a pięść do ucha będzie podobną — mimo *symbolu*, jaki przedmiot taki przedstawiać ma — wstręt uczuвам, bo zdaje mi się, że przedewszystkiem piękno i prawda jest zadaniem sztuki.

Rzeźby p. Flauma niezadowolili ani mego poczucia estetycznego, ani do mojej, dość bujnej, zda się, fantazyi — nie przemówiły. W „Marzeniu” jego nie widzę wcale *marzenia*. Chudeusz jakiś trzyma na rękach swoich niewiastę, która w uścisku namiętne ogarnęła szyję jego. Ale ten uścisk kobiety nie wzrusza go wcale; zda się, że ją dlatego tylko trzyma, iż się przyczepiła do niego, bo sam najobojetniej, bez najmniejszego *rozmarzenia* przed siebie patrzy, nie dbając wcale o wściekłość pocałunku niewiasty onej. Ona jest uosobieniem rozpasania chyba, a on — obojętności.

Lecz gdzie jest marzenie?...

Niestety! tytuł nie nie powie, jeżeli nie dzieło samo nie mówi. Szczegółiki pomijam, bo czytelniczki moje zarumieniłyby się mogły.

W „Wampirze” przedstawiona jest niewiasta... bez chusteczki, na czworakach pełzająca. Chude ręce i nogi czynią ją bardzo do pajaka podobną... Całość robi wrażenie komizmu, ale nie grozy.

Ale przed „Pocałunkiem” klękajcie narody!... Dwie twarze... Ba!... kiedy wcale tam twarzy niema. Lepiej powiedzieć, że — dwie puchliny spotkały się z sobą i całują się. Ani czoła, ani nosa, ani ust nie widać...

— Co to takiego?...

Na ten głośny okrzyk mój, podszedł do mnie znawca rzeczy podobnych i głową z politowaniem kiwając, odezwał się:

— Więc pan nie rozumiesz?

— Nie a nie!

— To arcydzieło!...

— Być może — ale powiedz mi pan, gdzie nos, broda, czoło, usta?...

— Niema brody, czoła, ani nosa, ani ust...

— Więc co to jest?...

— Tylko symbol.

— Czego?

— Pocałunku...

— Ależ do dyabła!...

— Profanie! profanie!... Czy nie widzisz, że te dwie postacie w ogniu miłości stopiły się. One nie nie widzą, nie czują, zlały się w jedną bryłę, w jedno pożądanie szczęścia.

— Być może, mój panie, że *one* nie nie widzą, nie czują; pewny nawet jestem, że nie nie widzą, ani czują, ale ja chcę widzieć, czy to są dwie twarze ludzkie, czy dwie bułki.

Odpowiedzią na to było pogardliwe milczenie.

Wyniosłem wrażenie nie tylko z rzeźb onych, ale wogóle ze sztuki dzisiejszej, że przebywa ona jakąś gorączkę tyfoidalną, że w kontorsjach jakichś pręży się, rozpiera, przeczuwając może światy nieznane, które w przyszłości odkryje. Nie potępiam więc jej, ale się nie zachwycam; w narodziny jednak ideału z kontorsyi takich nie wierzę. Widzę tylko nie piękną, lecz brzydoto umiłowanie, a ponieważ moje poczucie estetyczne cierpi na tem — opuszczam Salon... z niesmakiem, nie

widząc wcale w sztuce nowej olbrzymiego pędu Farysa — w nieskończoność.

Z każdym rokiem fizyognomia miasta naszego zmienia się. Powstają coraz to nowe gmachy i ulice nowe, które bezwątpienia na zewnętrzny jego wygląd dodatnio wpływają, szkoda tylko, że to wszystko nie obchodzi się bez szkód pewnych.

Warszawa, aczkolwiek jest bardzo stara, bardzo niewiele ma zabytków przeszłości, a te, które czas od zniszczenia ochronił, ręka ludzka, dla *wygody* — rujnuje. Żał mi było pałacu Tarnowskich, choć na jego miejscu stanął wspaniały... Bristol; żał mi było starej syreny nad bramą i łukowych przejść ulicy Karowej, ale — trudno! wygoda wymagała rozszerzenia tej ulicy, i miastu przybył piękny widok na daleki brzeg wiślany. Ale oto teraz ma stanąć teatr nowy, czy gmach dochodowy, na dziedzińcu przed pięknym pałacem Brühla.

Pomijając to, że śliczny front pałacu zasłonięty zostanie, znieśioną być musi i brama charakterystyczna, zabytek pierwszej połowy ośmnastego wieku. Najpiękniejszy gmach bramy tej nie zastąpi — nowy tylko szablon przybędzie, przy murze mur stanie — i nie więcej.

Dopóki decyzja ostateczna nie zapadła, czy nie godziłoby się zgłosić do komisji archeologicznej w Petersburgu, z prośbą o zachowanie tego zabytku? Natomiast najmniejszego żalu nie czuję, że historyczny już prawie targ za Żelazną-Bramą do wspomnień należeć będzie. Targ cały przeniósł się do nowozbudowanych hall, w których duszno i ciasno bywa, na co już narzekały pisma nasze, ale nie lepiej było i na przestronnym placu, na czem cierpiał sąsiedni Ogród Saski, do którego wiatr pomyślny zanośli zapachy ryb i gwaru przekupniów. Obecnie ów plac za Żelazną-Bramą w piękny wirydarz się zmieni. w ogród kwiatowy, nowomodnie *skwerem* nazwany. Miastu ozdoba więc prawdziwa przybędzie, piersiom ludzkim powietrze wonne, sąsiad przyjemny ogrodowi Saskiemu.

Nie poprzestałbym jednak na kwiatach tylko; plac jest tak duży, że z czasem piękny ogród mógłby na nim powstać. Można byłoby alej kilka półkolem wykreślić, od czasu do czasu drzewko jakieś zasadzić, i anibyśmy się spostrzegli, jak miły zazieleniłby się ogródek, blizki sąsiad ogrodu Saskiego.

Dwa ogrody przecięłyby ulicę Graniczną i Żabią, a czy to tak wiele zieleni mamy, czy zbytkiem byłoby zadrzewienie tego placu za Żelazną-Bramą? Ludność miasta powiększa się, dziś Ogród Saski nie wystarcza potrzebom mieszkańców. W dzień powszedni tłum, a podczas świąt i niedziel ścisk prawie nie do przebycia. Powietrze, o które wciąż wołamy, przepełnione jest pyłem, dziatwa biega i pod nogami przechodniów płąże się, — a do Ujazdowa zadaleko trochę, jak i do ogrodu Krasińskich, mającego zresztą spacerowiczów swoich. Bądź co bądź ulubieńcem Warszawy pozostanie i nadal ogród Saski — założenie drugiego za Żelazną-Bramą, byłoby niejako przedłużeniem pierwszego. Pomyślcie nad tem, ojcowie miasta, a wdzięczność tego miasta pozyskacie.

Kazimierz Gliński.

Julia Terpiłowska.

PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Pani Wszelaczyńska zaczęła opowiadać o swojej modystce, a Mewa, odchodząc, szepnęła do pani Rejskiej:

— Zagadaj ją pani tualetami, i nie zepsuj mi pysznej farsy, moja droga!

Gdy Jur wyszedł z gry, podczas gdy następna partya stawiała na placu, pani Wszelaczyńska, przekonana, że jest *epuzerem*, od którego te panie chcą przez kobietę zazdrość odwrócić jej uwagę, wskazała mu miejsce obok siebie na ławeczce, i łaskawie z nim rozmawiając, manewrowała tak, aby mógł zbliżyć się do jej córek.

— Pan często bywa za granicą? — pytała uprzejmym tonem.

— Teraz nie bywam wcale.

— A poprzednio?

— Poprzednio bywałem.

— Paryż zna pan dobrze?

— Znam.

— Jakże się panu podoba?

— Traci cokolwiek na porównaniu z Obrywinem.

— Nito! Mito! czy słyszycie? Wyobraźcie sobie, że pan Kaliniecki woli Obrywin od Paryża!

— Doprawdy? — rzekła zbliżając się Nita.

— Doprawdy? — zawtórzyła, idąc za nią Mita.

— Woziłam je zeszłego roku do Paryża — mówiła matka, — były zachwycone.

— Cóż panie najbardziej zachwyciło? — spytał Jur.

— Mnie wieża Eiffel, — rzekła Nita.

— I mnie także, — powtórzyła Mita.

— To panie chyba nie widziały jeszcze piękniejszych rzeczy?

— Czegoż to?

— Magazynów „Au printemps?”

— Ależ naturalnie, że widziały, broniła córek matka, i także były zachwycone.

— Ale wieżę Eiffel jeszcze bardziej?

— Takie olbrzymie dzieło sztuki! — objaśniła Nita.

— Takie kolosalne arcydzieło! — uzupełniła Mita.

— Panie mają widocznie kolosalne poczucie architektoniczne, — zaopiniował Jur.

— O tak! — potwierdziła matka, — obie ogromnie lubią sztukę, i same ją też uprawiają.

— Architekturę? — zapytał.

— O nie! muzykę i malarstwo; lekcyce brały w Wiedniu, w Dreźnie i w Genewie. Moje córki wiele podróżowały, ale pomimo to niezmiernie lubią wieś.

— Nie nudzą się panie na wsi? — zapytał Jur.

— O tak! — zawołała Mita.

— O nie! — zaprotestowała Nita, — trącąc nieznacznie siostrę — Wieś jest tak poetyczna, tak malownicza...

— I tak muzykalna, — uzupełnił Jur.

— Jakto? — zdziwiła się matka.

— Te panie — odpowiedział, — jako znawczynie estetyki w ogóle, muszą odczuwać nie tylko linie i barwy wiejskiej natury, ale także jej dźwięki, na przykład poryk bydła w leśnej głuszy, albo ujadanie psów w noc księżycową.

— Rzeczywiście — odczuła muzykalna Mita, — a także słowiki... skowronki...

— I skrzeczenie sroki na płocie! i krakanie wron na dachu! — zawołała Mewa, wybuchając długo tłumionym śmiechem.

— Cóż to za epigramat, Mewciu droga? — spytała kwaśno hrabina.

— To nie epigramat, pani hrabino — rzekł Jur, patrząc z uśmiechem na Mewę, — to jest właściwie realizm.

— Realizm teraz bardzo w modzie, — rzekła Nita.

— I naturalizm także, — rzekła Mita.

Matka skarciła ją spojrzeniem. Dobrze wychowane panienki o naturalizmie nie nie wiedzą! — mówił wzrok macierzyński.

— Otóż i pani Nabrzeka! — rzekła pani Rejska, podnosząc się na powitanie nadchodzącej.

Pani Mimi zbiegała lekko z pochyłej terasy, uśmiechnięta i zaróżowiona. Mając wziąć udział w grze, trzymała w ręku rakieta i była ubrana w krótką spódniczkę z jasną bluzką.

Wśród szmeru i ruchu przywitań, Mewa, przedstawiając jej Jura, rzuciła nazwisko jego szybko i niewyraźnie, wymówiwszy dobitniej tylko „monsieur Georges“ na początku. Pani Mimi nigdy przedtem Jura nie widziała, bo chociaż był u jej teściów, ale państwo Nabrzescy mieszkali w odrębnym skrzydle domu, i gości swoich przyjmowali przez osobne wejście. Przyjrzała się z żywym zaciekawieniem nieznanemu młodzieńcowi, a gdy się trochę oddalił, spytała Mewy:

— Cóż to za młody człowiek? zkądś go sobie wypisała?

— Mam takie biuro rekomendacyjne.

— Nie, seryo, kto to jest? bo nie dosłyszałam nazwiska.

— Jest to pewien zdetronizowany książę, podróżujący incognito.

— Dajże pokój farsom, Mewo!

— To nie farsa, Tinetko; to raczej próba.

— Jaka próba?

— Twojej przenikliwości i znajomości rzeczy. Jestem ciekawa, jak twój wyrafinowany gust oceni i sklasyfikuje tego... cudzoziemca? Upprzedzam cię, abys z nim mówiła tylko po francuzku.

— Ale cóż to znaczy? dlaczego ja mam odbywać taką próbę?

— Dla mojej przyjemności, Tinetko najśliczniejsza! Powiem ci, kto to jest, dopiero jak zrobisz z niego swoją konkietę — co ci się niezawodnie uda!

Udobruchana pani Mimi pogroziła jej paluszkami, i zbiegła na plac gry. Mewa postawiła Jura obok niej, aby mogli z sobą w przestankach rozmawiać. Jur grał doskonale, i umiał jednocześnie prowadzić rozmowę, a pani Mimi grała słabo, i lubiła mówić, nie zwracając na grę uwagi. Spojrzawszy parę razy z boku na swego partnera, odezwała się do niego pierwsza, zapytując, czy lubi sport?

— Lubię w ogóle forsowny ruch — odpowiedział, odbijając rakieta piłkę.

— Czy i taniec także?

— Taniec tylko wtedy, jeżeli zbliża do interesującej kobiety.

— Cóż pana w kobiecie najwięcej interesuje? czy pan bardziej ceni powab powierzchowności, czy też konwersacyi?

— Najbardziej cenię w kobiecie kokieteryę.

— A toż dlaczego?

— Dlatego, że to obie strony bawi, a żadnej do niczego nie obowiązuje.

— Czy pan taki zepsuty, czy taki złośliwy?

— Bałbym się być złośliwym z pięknymi paniami.

— Z jakiegoż to powodu?

— Bo piękna kobieta ma możność zemścić się.

— Jeżeli jest mściwa; — ale podobno wdziek najczęściej chodzi w parze z dobrocią, — rzuciła z uśmiechem pełnym słodyczy.

— Nie wątpię o drugiej, w chwili, gdy konstatuję pierwszy, — odparł z lekkim ukłonem.

— A to jest otwartość — czy ironia?

— To może być naiwność — albo przewrotność — albo wreszcie wiara w doskonałość kobiecą.

— Pan jest Sfinksem!

— Nie, pani; przedź Edypem.

Przerzucali się tak krótkimi zdaniem podczas całej partyi. Jur grał jakby od niechcenia, ale wygrywał; rozmawiał także jakby od niechcenia, ale intrygował partnerkę. Pani Mimi wkrótce się bardzo zmęczyła, dotrwała jednak do końca partyi, aby tego nie okazać. W tem samem położeniu był i pan Wielolecki, który uwijał się po placu zziajany, ale uśmiechnięty, siłąc się na wykazanie młodzińskich ruchów i usposobienia. To też oboje byli bardzo w głębi duszy zadowoleni, gdy nakoniec ich partya się skończyła, a plac objęły panny Wszelaczyńskie z panami Krzyżskim i Grüberem.

Mewa zbliżyła się do ciotki, wachlującej się ślicznym wachlarzem, malowanym w motyle i róże, i podsuwając jej chłodniki i owoce, zapytała półgłosem:

— I cóż, Tinetko, jakże ci się podobał zdezonizowany książę?

— Bardzo interesujący! bardzo sympatyczny! — odpowiedziała z ożywieniem.

— Potrafił zadowolić nawet twój gust wybredny?

— Mój gust wybredny umie przecież oceniać ludzi wedle wartości.

— Więc jakże oceniasz tego pana?

— Naturalnie, że jako człowieka światowego z najlepszej sfery, to przecież wątpliwości nie ulega. Powiedz-że nareszcie, z kąd ten świetny meteor przyleciał na nasz partykularz?

— Prościuteńko z Paryża!

— Domyslałam się tego po jego akcencie. Więc któż to jest?

— Pan Jerzy Kaliniecki z Obrywińskiej Zagrody.

Pani Mimi otworzyła usta, potem je zamknęła, nie znajdując odpowiedniego słowa, i dopiero po chwili wymownego milczenia, rzekła z wyrazistym grymasem:

— Dziwne miewasz koncepta, moja Mewo!

— Nie gniewajże się, Tinetko najdroższa! Możesz jeszcze wycofać się z honorem, i powiedzieć, że twoje pochwały były żartobliwe, albo ironiczne.

— Nie potrzebuję się wycofywać. Ten młody człowiek jest rzeczywiście bardzo przystojny, i ma pewną ogładę.

— Żebyś wiedziała, z jaką on brawurą drwa rąbie! z jaką finezyą trawę kosi! z jakim szykiem konie poi!

Pani Mimi krzywiła się, Mewa powstrzymała chętkę śmiechu.

— Ostatecznie... — zakonkludowała piękna pani, spozierając z ukosa na zręczną sylwetkę i regularny profil Jura, ostatecznie młody

człowiek nie jest młodą panienką, i może liczyć na pewną pobłażliwość dla swoich wybryków. Teraźniejsza młodzież jest tak ekscentryczną!... Ale, ale... cóż na to Wszelaczyńska?

— Nic nie wie! naprowadziłam ją na domysł, że to epuzer, i patrz, jaka na niego łaskawa! Nie zdradź-że się przed nią, Tinetko droga, a będziemy miały pyszną farsę!

Teraz pani Mimi zaczęła śmiać się razem z Mewą. Perspektywa zabawienia się koszttem pani Wszelaczyńskiej, przywróciła jej całkowicie dobry humor.

Pani Wszelaczyńska przypatrywała się grze swoich córek z miną niechętną i znudzoną, gdyż grały z partnerami, nie przedstawiającymi żadnej szansy.

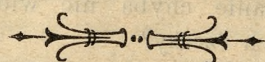
Dżek Krzyski był wprawdzie dość zamożny, jeszcze młody i zachowywał się po kawalersku, ale to wszystko na nie się nie zdało, bo miał gdzieś na świecie jakąś żonę, z którą oddawna nie mieszkał.

Co się zaś tycze Fryda Grübera, ten mógłby konkurować o pannę „z towarzystwa“ tylko w razie, gdyby np. była niemłodą i zrujnowaną, lub coś podobnego.

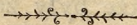
Ojciec Fryda, który przed trzydziestu laty przybył z Brandeburgii z małym tłómaczkiem, obecnie był dyrektorem i współwłaścicielem największej w okolicy fabryki cukru.

Stary Fryc dla siebie nie marzył o wyniesieniu się po nad sferę, z której wyszedł, ale z jedynaka swego chciał zrobić autentycznego panicza, któryby naturalnie z pomocą ojcowskich kroci, mógł zająć miejsce w kółku prowincjonalnej arystokracji. I dopiął celu o tyle, że jego Fryd, skończywszy w Berlinie nauki i zabawiwszy dla ogłady w Wiedniu, zachowywał się i ubierał tak samo, jak młodzię światowa, a w towarzystwie chociaż się nieczem nie odznaczał, ale też i nie raził nieczem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

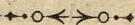


DEOTYMA.



NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).



(Ciąg dalszy).

Aż wydał okrzyk: — «Ha, jest! Patrz-no, sługa!

«Mam ślad po łotrze! Rozcięta makata!

«I jak rozcięta! I zewnątrz, ta druga!

«Dobry to mieczyk, co tak równo płata.

«On tędy weszedł! I wyjść musiał tędy!

«O.... czy słyszycie? Któs leci w te pędy....

«Znów strzelanina! I to już nie zdala,

«To gdzieś tu blisko! Pewnie go ujęto!»

Rzekł, i przez szparę w jedwabiach wyciętą,

Wyskoczył ruchem szakala.

Tuż za namiotem, spostrzegł cień pochyły,

Który się w krzakach czai, czy przemyka?

Po kusym stroju poznał Wiedeńczyka.

Dopał go milczkiem. Darli się co siły.

Aż gdy kapelusz o szerokim brzegu,

Spadł z głowy Niemca, — syknął: — «To ty, zbiegu!

«A!.... To ty chciałeś przyjrzeć się gazelli?

«Trzykroć mojemu różgami osmagan,

«Jeszcze chcesz kaźni?» — Tu wyjął jatagan,

I obaj w krzaki runęli.

Wyszedł — sam Ajaz. Krew ociera z broni.
 Na krew się rozjadł, aż ręce go pieką.
 Czy gonić innych? Jeszcze ich dogoni!
 Jeszcze utarczkę słyszy niedaleko....
 Chęć tę, z poczuciem obowiązku waży;
 Służbista przemógł, — i został na straży.
 — Za to, ktoś inny, przed hałastrą gończą,
 Biegł ku walczącym. I to kto? Niewiasta!
 Pewnie Turczynka, bo ma kwef z opończą.
 W jęj rękach jest kruz baniasta.

Ów dzban jęj cięży, więc w drodze go roni.
 Z rozbitych skorup rozbryzło się mleko.
 — Spah wracający przeleciał koło nięj,
 Stań! i krzyczy: — «Gdzie? Gdzie tak daleko?
 «Wróć się, warjatko! Co chcesz? Tam się biją!
 «To nie są nasi, to psy z długą szyją.»
 — Ona nie zważa. W sprężystym jęj kłusie,
 Jest coś męzkiego. Białe prześcieradła,
 Biją w jęj boki, jakby skrzydła strusie,
 Nakoniec, Chrześcijan dopadła.

Była to chwila, kiedy już sunęli
 W parów podmiejski, na którym zaranie,
 Mgłą się kłębiło. Zapadli w tumanie.
 Już tylko czasem, z oparnęj topieli,
 Końce lanc, złotym spojrzwały się migiem.
 — Już też i Turcy, znużeni pościgiem,
 Zwalniali biegu. Niejeden, zaduman,
 Powracał stępią, by opatrzyć ranę,
 Lub liczyć straty przez Niemców zadane.
 Nim ruszył, wystrzelił w tuman.

Hufik Studencki też się odstrzeliwa,
 Lecz już na oślep, tylko dla przechwałki.
 Wewnątrz kolumny idzie zdobyć żywa;
 Stąpają chłopcy dumne jak Marszałki,
 Niosą sztuk osiem: związane barany,
 Łup wielki, w kuchniach Janczarskich zdybany.

Drudzy prowadzą, ach, tłustego wołu!
 Dziś obiad, mrzonką nie będzie już płonna.
 Tuzin Dragonów otacza ich konno,
 W obronie przyszłego stołu.

Herr Doctor Sorbaït, choć mędrzec i z brodą,
 Jak dziecko, śliczną cieszy się czeczugą.
 Każdy tu z jakąś wyjeżdża zasługą.
 Niektórzy, rannych towarzyszy wiodą.
 W końcu, młodzieniec o płomiennęj cerze,
 Wels, — też na koniu — tyłów armji strzeże,
 A ciągle krzyczy: — «No prędzěj! bez ferji!
 «W skok! Już mgła ranna drze się i rozchyla,
 «Turek dopatrzy nas tu lada chwila,
 «I wyceluje z baterji.»

Właśnie podwajał pęd i nalegania,
 Gdy nagle umilkł — zatrzymał kasztanka —
 Spostrzegł niewiastę co tuż ich dogania.
 — «Kto to?» — Zawołał. — «Ach, to pewno branka
 «Do nas ucieka? Biédastwo spłoszone!
 «Może to Niemka? Biercież ją w obronę.»
 — Zaraz obrońcy ją kołem osnuli.
 Ona, za Hansem powłóczy oczyma;
 Biegnie, do jego ramienia się tuli,
 Jego ręk tylko się trzyma.

Dumny z wyboru, Hans radby też wiedział,
 Czy zdobycz piękna? Cóż, kiedy obwoje,
 Z dołu i z góry kryją twarz? A przedział,
 To tylko szparka! Tam ócz świeci dwoje.
 Zajrzał jęj w oczy. No, rzecz niepojęta,
 On zna te oczy! Lecz zkąd? Nie pamięta.
 Pyta. Niewiasta milczy uporczywie.
 Zatem, rycerskiej czci niechcąc uchybić,
 Już tylko ręką otoczył jęj kibić,
 I wiódł ją w niemym podziwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej,

w opracowaniu WANDY ŻELEŃSKIEJ.



VI.

Do nauki potrzebne przygotowanie fizyczne. — Ważność zdrowia. — Idealny porządek fizycznego wychowania kobiety.

Równie ważnem jak umysłowe przygotowanie w wychowaniu dziecka, jest jego przygotowanie fizyczne. Do ukształcenia naszego

ustroju fizycznego wiele się przyczynić może własna nasza praca. Fizyczności swojej nikt nie stwarza, to prawda, po części jednak jest ona od woli ludzkiej zależną. Przedewszystkiem, trzeba być o tem głęboko przekonanym, że zdrowie i siły potrzebnymi są do nauki. *Trzeba chcieć być zdrowym!* Większa część kobiet nie myśli o tem, a inne, myślą niewła-

ściwie. Drobiazgowa pieczołowitość, jest cechą egoizmu, gdy nas pochłania myśl bezustanna o tem, czy nam co zaszkodzi? czy posłuży? Z dogadzania sobie, z leczenia każdych chwilowych dolegliwości, wypływa tak powszechnie wysmiewane rozpieszczenie. Te rozpieszczone istoty mają grzech podwójny, bo i sobie szkoda, i bywają dla drugich zgorszeniem. Mo-

zna je także choremi na wyobraźnię nazwać. Inne grzeszą przez lekkomyślność jakąś bu-
tną, dowodzącą, że „nic złego stać się nie mo-
że,“ „nic nie może zaszkodzić,“ inne jeszcze
przez próżność, fanaberyę. Czasem się to uda,
że siła młodości znieśli szalone niebezpieczeń-
stwo, na jakie się narażają kobiety nierozsąd-
ne. Jest to odwaga bez szlachetnego celu ni
powodu, odwaga skoczków na linie, którą nie-
raz zdrowiem i życiem przypłacić trzeba.
Jest jeszcze inny objaw lekkomyślności, nara-
żanie się na choroby, przez ciekawość, albo
w celu wypróbowania uczuć pieczołowitości
i cierpliwości blizkich. W młodości często *ba-
wimy się w zdrowie*, nie udając choroby, gdy
przyjdzie, rade jej jesteśmy. Brak moralnego
oparcia się chorobie, wpływa na usposobie-
nie. A przecież zdrowie szanować trzeba, nie
tylko jako warunek trwania, ale ukształcenia;
nie tylko bytu, ale dobrobytu, szczęścia, udo-
skonolenia. Zdrowie nam jest dane dla służ-
by Bogu i ludziom. Człowiek zdrowy, uży-
teczniej się względem ludzi postawi; człowiek
silny, więcej uczyć się może. Organizm ludz-
ki rozwija się tylko w warunkach doskonałej
równowagi. Zdrowie zasadza się na równo-
wadze wszystkich funkcji żywotnych. Wie-
dzieli o tem dobrze Grecy, kształcąc ciało,
w niem rozwijali piękną duszę; to stanowiło
całość harmonijną, skończoną. Trzeba więc
pożytkować wszystko, czem obdarzyła nas
przyroda, boć to danem nam zostało na wzbo-
gacenie; nasza wina, jeśli wyrzekamy się władz
fizycznych czy moralnych. Każde takie za-
niedbanie równa się zakopaniu w ziemię ewan-
gelicznego talentu. Jak duchem obejmujemy
cały świat idei, tak siłą fizyczną zdobywamy
panowanie nad materią. Te dwa światy, lu-
bo często stają do walki, w połączeniu do-
piero dają obraz doskonałej całości.

Huffelanda nauka długiego życia opiera się
na jednej jedynej tajemnicy: na umiarkowa-
niu. Inne określenie *zdrowia* znajdujemy u Je-
drzeja Śniadeckiego, w jego „Teorii jestestw
organicznych.“ Tam stawia on teorię rozwia-
niania pierwiastków, w człowieku, rzeczy przy-
swojone rozrabiają się w krew, w żółć, w fle-
gmę i w plexus. Według tych czterech pier-
wiastków, są też cztery temperamenta ludzkie,
krwisty, żółciowy, flegmatyczny, nerwowy.

Krwisty, objawia się gwałtownością, w uspo-
sobieniu, wesołością, gniewem. *Żółciowy*, sam
w sobie zamknięty, nazywa się melancholij-
nym. Ludzie żółciowi bywają zazdrośni, ule-
gają mu też ludzie skłonni do wielkiej pracy
umysłowej, Dante był żółciowym, Napoleon,
gdy był jeszcze Bonaparte.

Flegmatyczny temperament jest łagodny,
spokojny, cichy, mniej pojętny, ale dłużej prze-
chowuje wrażenia od krwistego. *Nerwowy*,
jest essencją tych czterech temperamentów
i najwyższym z nich; drażliwy, pamiętny, po-
jętny, wrażliwy, skłonny do gniewu. Równo-
waga doskonała jest abstrakcją. Niema czło-
wieka któryby pod jedną ilością wyrabiał się;
zawsze jeden albo dwa temperamenta prze-
ważają. Kombinacje bywają różne, stąd po-
chodzi różnaitość usposobienia. Wyłącznie
krwistego temperamentu nikt jeszcze nie wi-
dział. Gdy więc doskonała równowaga niepo-
dobieństwem, pozostaje nam tylko czuwać
nad sobą, miarkować się, podsycać w sobie

inne pierwiastki. Obowiązkiem rodziców czu-
wanie nad dziećmi i stosowanie tych warun-
ków w dalszym ciągu życia; gdy ich wpływ
ustaje, zastępuje go własna praca i uwaga.

Chcąc przeprowadzić ideał zdrowego fizycz-
nego wychowania kobiety, trzeba by w niem
taki stosunek nauki przeprowadzić: Do sie-
dmu lat, nauka nie rozpoczęłaby się wcale,
ograniczając się na tem, co dziecię samo
weźmie. Pomyślmy tylko, jak ono dużo musi
sobie przyswoić. Ilu wyrazów, przedmiotów,
stosunków ma się ono nauczyć, między pierw-
szym a siódmym rokiem życia! Naukowe ba-
dania dowodzą, że w tym przeciągu czasu
człowiek uczy się więcej, niż przez całe ży-
cie. Wprawdzie ta nauka nie męczy dziecka,
bo jest pamięciową, nie badawczą. Trzeba na
tem poprzestać, nie trudzić, nie wywoływać
pracy nadmiernej. Jest to wiek, w którym fi-
zyczność potrzebuje niejako skonsolidowania.
Niech dziecko przyswaja sobie jak najwięcej
powietrza, światła, pokarmów; trzeba je zo-
stawić w zupełnej swobodzie. Dopiero po
siódmym roku, kiedy zęby zmienia, natura
daje znak, że przesilenie nastąpiło. Od tego
czasu, aż do lat piętnastu, w coraz większych
dorzach naukę dawać, zachęcać do pracy, cho-
ciażby mozolnej. Nie trzeba sił, tyle dziecko
przyswoiło ich już sobie, gdyby dalej zosta-
wić swobodnie, organizm urosłby kosztem
mózgu, zwierzątko przemogłoby w człowie-
ku. Od lat piętnastu do siedemnastu, nauka
powinna być ostrożniej udzielana, bo to jest
chwila przesilenia, w której umysł najskłon-
niejszy do przerzucania się z jednej ostatecz-
ności w drugą, pełen gorączkowych niepo-
kójów i rozmarzenia. Nie należy w tej epoce
zbytnio obciążać umysłu; raczej mięśnie roz-
wijać i kształcić. Po latach siedemnastu nau-
ka przestaje być niebezpieczną, bywa czasem
lekarstwem przeciw rozdrażnieniu, tamą prze-
ciw budzącym się namiętnościom, ratuje od
rozwijającej się zmysłowości. Wtedy praca
staje się najkorzystniejszą, najsamodzielniej-
szą, nawet piękność podnosi, bo zdrowie jest
zastosowaniem równowagi. Chociażby to pra-
wo zostało w wychowaniu naszym przekro-
czone, należy się zawrócić, skierować ku nie-
mu; na tę pracę nigdy za późno nie będzie.
Mówiliśmy, że fizyczność oddziaływała na stan
umysłowy, Voltaire utrzymywał, że wszystko
zależy od organizmu człowieka, jako główny
czynnik stawiał żołądek. Fizyczność jest za-
prawdę potęgą wielkiej siły! Klimat oddzia-
ływała na całe pokolenia ludzkie; dana miej-
scowość rozwija rozmaite skłonności, wśród
górn inne, wśród płaszczyzn inne etc., etc. Ztąd
różnica narodowości; rody ludzkie mają cechy
niestarte. Gdybyśmy wpływ klimatu brali za
jedyną przyczynę, rozwinęłaby się przewaga
zmysłowości, ponieważ jednak inni filozofa-
wie dowodzą, że umysł czasem oddziaływała na
fizyczność, przeto trwa nierozstrzygnięta do-
tąd walka materyalistów z idealistami. Mamy
tego liczne dowody. Np. *strach* nie jest z pew-
nością rzeczą fizyczną, lękamy się niekiedy
osoby bynajmniej nie strasznej; radość, smu-
tek, wiadomość jakaś, wprowadzają nas w stan
niezwykły; wrażenia moralne oddziałują na
cały organizm, stąd zemdlenia, choroby, śmier-
ci nagle, pomieszanie zmysłów, z wewnętrz-
nych przyczyn powstające. Wiemy, że smu-

tek, zgryzota, mogą spowodować suchoty, wy-
nisszczenie. Tylko niezakłócona spokojność
normalnie rozwija ciało.

Uznając ten wpływ moralny umysłu, ludzie
chcieli nim pokierować ciało. Nie łatwiejsze-
go, jak popaść w ostateczność w tym wzglę-
dzie—np. w ascetyzm, poniewierając i drę-
cząc ciało, zaniedbując je kosztem zdrowia
i umysłowej równowagi niekiedy. Jeżeli fi-
zyczność zapanuje nad umysłem, znowu bę-
dzie niebezpieczeństwo, jakkolwiek drugostron-
nie—niemniej wymagające czujnej naszej kon-
troli i uwagi. Nie trzeba, by umysł fizycz-
ności podlegał, lecz trzeba, by został organizm
zdolny do wspomoczenia go w potrzebie i od-
wrotnie. Fizycznie, zdrowie nasze utrzymać
możemy jedynie za pomocą higieny, przed-
stawiającej środki zachowawcze, uprzedzeniem
choroby, bo gdy w chorobę raz człowiek po-
padnie, to już się dostaje w opiekę lekarza.
Moralna pomoc do zdrowia, zupełnie od na-
szej woli jest zależną. Jako środki zach-
owawcze można wymienić powietrze, pokarm,
pomieszkawie etc., etc. Ludzie sami nad sobą
czuwać muszą. Co do temperamentów, za-
pewne zmienić ich dowolnie nie możemy z dnia
na dzień, ale możemy je zmieniać powoli,
bo widzimy jak często z koleją lat się uśmie-
rzają i przeobrażają, modyfikują. Okazuje się
więc, że prawa fizyczności nie ciąży nad czło-
wiekiem, jak fatalizm. Zewnętrzne objawy
również tkwią w naszej mocy. Urobiony tem-
perament może najwłaściwiej zwaćby nale-
żało *charakterem*, składającym się z natury
i z woli.

Otóż od nas samych zależy poddanie się
temperamentowi lub panowanie nad nim, jest
to zagadką zdrowia i tworzenia się charakte-
ru. Częstokroć osoby, ulegające wpływowi tem-
peramentu, zastawiają się szczerością; zapa-
nowanie nad fizycznością, uważają za obłudę.
Cóż to jest obłuda? Obłuda jest to różnica za-
chodząca między treścią wewnętrzną a ze-
wnętrzną formą. Są jednak dwa rodzaje obłu-
dy: *świadoma* na oszukiwanie drugich i *nie-
świadoma* na oszukiwanie siebie samej; jedna
grzeszna, druga szlachetna. Można oszukiwać
w złym celu, można ukrywać się w dobrym,
jak dla spokojności drogiej osób np. Opłaca
się to często zdrowiem. Poddawanie się wra-
żeniom, dowodzi słabości charakteru; wrażli-
wość wygórowana, bywa podkopaniem zdro-
wia. *Życie płynie* przez wrażliwego człowieka,
każda chwila ważniejsza go wstrząsa i prze-
jmuje. Nie trzeba się poddawać, to prawda,
ale i udawać się nie powinno. Jakże tego
uniknąć? Trzeba nad sobą panować. Kto pa-
nuje nad sobą w pełni umysłu, ten zaczyna
od wewnętrznej reformy. Praca powinna się
zacząć, nim złe przyjdzie i to na drodze re-
ligijnej. Różnica między obłudą a zapanowa-
niem nad sobą, leży w zgodzie wewnętrznej,
z formą zewnętrzną; zgoda ta dopiero daje
prawdę. Gdzie tej prawdy niema, tam musi
być świadoma lub bezświadoma obłuda. Weźmy
np. powierzchowność sztucznie kształconą, cho-
ćby w najszlachetniejszym celu. Zawsze to na
złe wychodzi, bo zupełna swoboda i natural-
ność są warunkiem zdrowia tak fizycznego,
jak moralnego.

Lepiej z doznaniem wrażenia się zdradzić,
aniżeli je ukrywać, bo prawdy niema powo-

du się wstydić, co bynajmniej nie wyklucza potrzeby panowania nad zewnętrznymi objawami, by nie popaść w zbytęzną wrażliwość, tak często wysmiewaną u kobiet. Powierzchność, *zewnętrność*, powinna być w zgodzie ze stanem wewnętrznym. A zatem usiłowanie powstrzymania objawów zewnętrznych, jeszcze dostatecznem nie jest; trzeba się pierwszej przeistoczyć wewnętrznym. Młode dziewczęta zwłaszcza, wiele sił marnują na takie walki, na takie gimnastyczne sztuki, wysiłek w tej, czy w innej formie na nerwach poszarpanych, odbić się musi. Najlepszą więc zasadą zdrowia jest — *prawda*. Powtarzamy to uroczyście. Praca wewnętrzna, bierze to, co jest, sięga do głębi, szczepiać prawo Boże. Gdybyśmy chcieli to dobrze rozważyć, to byśmy zrozumieli, że na tem zależy piękność, szlachetność, całe usposobienie człowieka, ażeby potrafił oddać, uzewnętrznic, w czynny wcielić to, co w nim jest, prawdę swojej duszy. Ta zgoda wewnętrznosci z zewnętrznoscią ludzką, stanowi dopiero ideał harmonii.

Widzimy, że ile razy fałszywi kapłani filozofii, tej świętej nauki mądrości, oddzielają materię od ducha, powstaje zamieszanie wszelkich pojęć i zupełne zaćmienie wiekuistej prawdy. Trzeba szanować formę, skoro ona jest koniecznością i objawem treści. Zrównoważenie wszystkich władz jest naszym obowiązkiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wystawa darów M. Bersona.



W sobotę, dnia 17-go b. m., w dolnej, lewej sali gmachu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, otwartą została wystawa rysunków, szkiców i akwrel, ofiarowanych Towarzystwu przez p. Matiasa Bersona.

Wystawa, jak wykazuje katalog, starannie opracowany przez samego ofiarodawcę, obejmuje 196 prac artystów polskich i 39 artystów obcych, razem dzieł 235.

Wartość zbioru jest przede wszystkim wartością historyczną; badacz, chcący napisać historię malarstwa polskiego, znalazłby tu немало podstawowego materiału, poczynając od prac Szymona Czechowicza (od 1689—1775 r.), skończywszy na rysunkach Andriollego.

Prace pierwszego tem są nader cenne, że stanowią niejako początek literatury naszego malarstwa i przedstawiają kompozycje o szerszym już zakresie. Widzimy więc: „Projekt wielkiego ołtarza w kościele św. Krzyża w Warszawie,” „Wniebowzięcie Chrystusa,” „Sceny religijne,” „Wizerunek św. Rocha” i „Plafon kościoła w Rawie.” Szkice kościelne Czechowicza dają miarę niepospolitego talentu w tym kierunku.

Dalej czytamy nazwiska: Vogla, przezwane-go Ptaszkiem, Piotra Norblina, Marcellego Bacciarelli'ego, Franciszka Smuglewicza (1745—1807), malarza z epoki Stanisławowskiej, który pozostawił wiele obrazów historycznych i religijnych, Karola Wojniakowskiego (1772—1812), dużym obdarzonego talentem, Alexan-

dra Orłowskiego (1777—1832), znanego akwarelisty, twórcy wielu scen z życia ludu i wojaków, Jana Lampi'ego, portrecisty, Alexandra Molinari'ego (1772—1831), znakomitego miniaturzysty, Michała Płońskiego, rytownika, Michała Stachowicza, Jana Bogumiła Plerscha (1732—1817), rysownika, obdarzonego wybitnym darem kompozycyjnym i bujną fantazją, jak tego dowodzą „cztery pory roku,” projekt patentu i t. p., Jana Piwarskiego, Alexandra Kokulara i Januarego Suchodolskiego.

Z późniejszych znajdujemy jeszcze: Podezrzańskiego, H. Pillatiego, Sypniewskiego, Maza Gierymskiego, nie zapowiadającego w pierwszej dobie swego tworzenia wielkiego późniejszego artysty, Szermentowskiego, Marszałkiewicza, Norwida, Gersona, Głowackiego, który wraz ze Smochowskim i Lewickim reprezentuje humorystykę w rysunku, drugiego Pillatiego, Polkowskiego i wielu innych.

Prac artystów obcych jest nie wiele, jak wspomniałam, sztuk 39, i właściwie szkice te należałoby ugrupować osobno. Dokumenty historyczne naszej sztuki, jakimi zbiór p. Bersona śmiało nazwać można, stanowią odrębną całość.

Śród szkiców obcych wyróżnia się „Madonna” Carlo-Marata.

Z. S.



POŁUDNIE.



Z parku odorczające, senne płyną wonie.
Myśl na lazurach modrych, niebieskawych kona
I promiennego słońca olbrzymia korona
Jasno-złotym pożarem ponad ziemią płonie.

Leniwie płyną rzeki rozszrebrzone tonie,
Cisza przykuła wszystko do białego łona,
Niekiedy zadrza kwiatek, trawka rozmodlona,
Lub echo dźwięknie w boru zielonej osłonie.

I znowu cisza wielka, bezmierna zapada,
Tylko słońce jaśnieje ogniściej... ogniściej...
Na łąki wypłynęła z toni nimfa blada —

Z macierzanek, rumianków usnuwszy okrycie,
I uplotłszy wianeczek z szmaragdowych liści,
Biega po bujnej trawy miękkim aksamicie.

Zygmunt Różycki.



Kobieta-doktor w XIX-ym wieku.



Florencja Nightingale.

Do szeregu sylwetek kobiet zasłużonych w medycynie, które w dalszym ciągu czerpiemy z dzieła panny Melanii Lipińskiej, przybywa miss Florencja Nightingale, która bez wyłącznych studyów medycznych, położyła ogromne zasługi na polu higieny, szpitalnictwa i pielęgnowania rannych w czasie wojny.

Florencja Nightingale, urodzona r. 1828-go, pochodziła z zamożnej rodziny, wychowanie odebrała nadzwyczaj staranne, pierwsze lata młodości spędziła z rodzicami na dalekich podróżach, zwiedzając Włochy, Grecję i Egipt. Podziwiać naprawdę trzeba, jak tak młoda osoba, wychowana w zbytku, zgodziła się porzucić i rodzinę, i wszystkie przyjemności, do których od dzieciństwa nawykła, aby się przenieść na pole bitwy, pomiędzy rannych i konających. Wielką bo też miłością bliźniego jaśniało całe jej życie. Już w czasie wystawy powszechnej, kiedy cała prawie Europa zjeżdżała do Londynu, aby oglądać te niebywałe i dotąd nieznane cuda przemysłu, ona na ten czas właśnie wyjeżdża z Anglii, aby nad brzegami Renu zamknąć się w Kaiserswerth, w przytułku utrzymywanym przez protestanckie dyakonissy i uczyć się od nich pielęgnowania chorych. Przez kilka miesięcy pracuje wraz z niemi, nie cofa się nigdy przed żadnym, nieraz bardzo przykrym obowiązkiem, chcąc koniecznie nabrać wiedzy, aby po powrocie do kraju być użyteczną. Niebawem znalazła stosowne pole działania; widząc, że szpital dla nauczycielek na Harley-Street w skutek złej administracji upadł tak bardzo, że miał być zamknięty, miss Nightingale staje na czele zakładu, splanca długi, wprowadza wszelkie ulepszenia, sama dogląda i pociesza chore, nie okazując nigdy, pomimo licznych przeciwności, najmniejszego zniechęcenia.

Wskrzesiwszy ten upadający, a tak użyteczny zakład leczniczy i dawszy mu silne podstawy w pomocy materialnej i moralnej, miss Nightingale wyjeżdża na wieś, chcąc poratować nadwątłone siły, jakby przewidywała, że w niedługim czasie wielce potrzebne jej będą.

W r. 1854-ym Anglia wraz z innemi mocarstwami prowadziła wojnę z Rosyją. Śmiertelność w armii angielskiej w skutek ran i chorób epidemicznych, była tak wielką, że zaniepokojony rząd postanowił przedsięwziąć energiczne środki ratunku.

M. Sidney Herbert, sekretarz ministerium wojny, znając i oceniając wielkie zasługi miss Nightingale w doglądaniu chorych, uprosił ją o objęcie trudnego naczelnego stanowiska. Wstępne przygotowania ukończono możliwie spieszenie, tak, że już 5-go listopada 1854-go roku miss Nightingale wraz z trzydziestoma siedmioma towarzyszkami, należącemi również do arystokratycznych rodzin Anglii, dopłynęły do Konstantynopola; odesłano je zaraz do szpitala wojskowego w Scutari, gdzie z chwilą ich przyjazdu nadesłano 600 rannych w bitwie pod Inkermanem.

Poświęcenie miss Nightingale i ich towarzyszek znalazło tutaj bardzo obszerne pole do działania; lekarze, oraz rodziny rannych zaświadczały, jak owocną była praca tych kobiet; z dniem każdym jakieś niebezpieczeństwo było do zwalczenia i tylko miss Nightingale swoim spokojem i nadzwyczajnymi zdolnościami administracyjnymi umiała te ciągłe przeszkody pokonać. Często, gdy po bitwie przywożono nowych rannych, dzielna ta niewiasta przez całą dobę, bez chwili wytchnienia, zajmowała się rozmieszczaniem chorych, rozdawaniem żywności i wydzielaniem zajęć dla swoich towarzyszek; przy trudnych

operacjach zawsze była obecna, a umierających na cholera lub tyfus doglądała sama, aby słowem pociechy dodać im odwagi.

A jednak to ciągle poświęcanie się dla dobra bliźnich nie ciążyło jej nigdy, dużo więcej cierpiała z powodu przeszkód, stawianych w jej działalności przez władze wyższe; dopiero z chwilą, kiedy M. Macdonald, rozdawca składek, zbieranych przez redakcję „Times’a” przyszedł jej z pomocą, mogła z całą swobodą wprowadzić wszelkie ulepszenia i udogodnienia w barakach szpitalnych.

Z początkiem wiosny kilka towarzyszek miss Nightingale zaniemogło ciężko, jedna z nich nawet, miss Smith, osobista jej przyjaciółka, zmarła; śmierć ta przygnębiająco oddziaływała na nią, pomimo tego dnia 4-go maja wyjeżdża do Bałakławy, aby swój zarząd w miejscowym szpitalu wprowadzić; załedwie jednak zdążyła pobudować nowe baraki i kuchnie polowe, a towarzyszkom wydzielić zajęcia, sama w skutek zmęczenia i nadmiernej pracy zapadła na tak silną gorączkę, że musiano ją na rękach zanieść do baraku, pomieszczonego w górach.

Lekarze uznali konieczność wyjazdu do Anglii, ona jednak nie zgodziła się na to, i po kilkotygodniowym wypoczynku, gdy siły powracać zaczęły, z nowym zapałem wzięła się do pracy.

Pozostała w Scutari do sierpnia 1856-go r., t. j. do końca wojny, dowiodłszy z pomocą lekarzy i swoich towarzyszek, czem powinny być i czem mogą być szpitale, i o ile w czasie nawet wojny śmiertelność pomiędzy chorymi może być zmniejszona.

Miss Nightingale nie ograniczała swojej działalności do wyłącznej opieki nad chorymi, pomagała również kaznodziejom pułkowym w zakładaniu czytelni, szkół i urządzaniu wykładów dla żołnierzy, pisywała za nich listy, pilnowała sama, aby pozostałe po zmarłych i poległych rzeczy i pamiątki były rodzinom odsyłane, swoim staraniem zbudowała w Inkermanie dom, w którymby przychodzący do zdrowia opiekę znaleźć mogli. Władza wojskowa dom ten wkrótce jednak zburzyć kazała. Nie umiano jej przebaczyć wykrycia wielu nadużyć. Z chwilą powrotu do Anglii niechętni i zazdrośni szkodzić już jej nie mogli; królowa wezwiała ją, aby osobiście złożyć jej serdeczne podziękowanie za wielkie zasługi na polu szpitalnictwa i uczcić hojnym pamiątkowym darem.

Memoriał, który miss Nightingale złożyła Radzie lekarskiej, wywołał wiele zmian, polecanych przez ministerium wojny.

Na wielkim meeting’u pod wodzą księcia Cambridge odbytym, wyrażono jej uznanie i podziękowanie od całej ojczyzny, a zarazem uchwalono składkę na założenie domu, w którymby pod osobistym kierunkiem miss Nightingale kształcić się mogły dozorcynie chorych. Ona jednak, z powodu zbyt wielkiego wyczerpania sił, odmówiła chwilowo swego kierownictwa; złożono więc uzbierane pieniądze w banku, a gdy ze składanym procentem wzrosły do 50,000 funtów sterlingów, miss Nightingale oddała je zarządowi szpitala św. Tomasza, z obowiązkiem wzniesienia nowych budynków na pomieszczenie szkoły dozorczyń.

Z chwilą tą szpital św. Tomasza stał się

prawdziwym rozsądnikiem dozorczyń na świat cały.

Już w r. 1862-im szkoła wysłała swoje wychowanki do Liverpool’u, które tam otworzyły podobny zakład, następnie Manchester, Winchester, Edyburg sprowadza je do siebie. Kanada, Sydney wzywają je również.

W r. 1882-im księżna następczyni tronu, chcąc założyć w Berlinie szkołę dozorczyń, sprowadziła kierowniczkę ze szpitala św. Tomasza.

Dziś już świat cały uznaje, że miss Nightingale w dziele przez siebie stworzonym doszła do najwyższej doskonałości, do jakiej w tym kierunku dojść można było.

Kiedy po pracowitem uorganizowaniu takiej instytucji, siły ją już opuszczać zaczęły, Miss Nightingale nie przestała jednak zajmować się ukochanem przez siebie dziełem, dotąd pomaga swoim wychowankom piórem, radą, a często i pieniędzmi. Od przeszło trzydziestu lat plany wszystkich nowobudowanych w Anglii szpitali były przedstawiane jej ocenie. Ona również kierowała budową nowego szpitala dla dzieci w Lizbonie. Z Indyi nawet i z Australii rad jej zasięgano.

Organizacja szpitala św. Tomasza bardzo małym zmianom uległa od r. 1860-go. Na czele domu stoi przełożona, kobieta wysokiego rozumu i doświadczenia, której stanowisko odpowiada zarazem kuratorowi szpitala i przełożonej klasztoru. Musi to być zawsze była dozorczyń chorych, która z chwilą objęcia stanowiska przełożonej, zostaje samowładną panią całego grona sióstr, których obowiązkiem jest pilnować „nurses,” czyli dozorczyń chorych i uczennic.

Kandydatka na dozorczyńnię w wieku od 22—33 lat musi być przedstawioną przez dwie osoby, któreby jej moralność poręczyć mogły. Po miesięcznej próbie składa zobowiązanie pozostania w domu przez lat trzy. Z początku spełniać musi wszelkie, najniższe nawet posługi, następnie słucha wykładów medycyny, higieny, uczy się masażu i opatrywania ran. Po dwóch latach zwykle już dostaje dyplom, pozwalający jej zająć miejsce pomocnicy w jednej z sal szpitalnych.

Płaca uczennicy zaczyna się od 300, a dochodzi do 625 franków. Siostry zaś są płatne od 800 do 1,500 franków, w dodatku dostają ubranie szpitalne, składające się z gładkiej czarnej sukni, dużego fartucha i białego czepeczka.

Dozorczyńnie muszą być niezamężne, co najczęściej ich pobyt w szpitalach skraca, zwykle bowiem bardzo dobrze wychodzą za mąż. Stanowisko ich tak jest w Anglii poważane, że bardzo wiele młodych osób z domów arystokratycznych i zamożnych do ich grona się wpisuje.

Miss Nightingale jest również autorką kilku cennych dzieł z zakresu higieny, z których jedno pod tytułem „Notes on nursing,” o opiece nad chorymi, było tłómaczone na wszystkie prawie języki. Książkę tę uważać można jako prawdziwy podręcznik dla osób, zajmujących się chorymi. Wszystkie rady w niej zawarte oparte są na doświadczeniu i głębokiej znajomości omawianego przedmiotu, widać w niej szeroki umysł i gorące serce autorki. Dzieło to przyczyniło się bardzo

do dzisiejszego rozwoju higieny. Od pierwszej do ostatniej stronicy autorka z naciskiem mówi o higienie, ale w sposób tak jasny i piękny, że książka cała zdaje się być hymnem pochwalnym na cześć powietrza i słońca.

Miss Nightingale żyje dotąd, otoczona czcią i wdzięcznością swoich ziomeków, jako jedna z tych pięknych kobiecych postaci, poświęcających się dla idei i dobra bliźnich.

B. K.



ZJAWISKA WULKANICZNE.

Słów o nich kilka z powodu katastrofy na Martynice.



Ukryte we wnętrzu ziemi siły ze straszliwą potęgą przypomniały światu o swem istnieniu. Trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne należą do najgroźniejszych zjawisk, znanych na kuli ziemskiej i w ogólnych zarysach powstanie ich przypisać należy jednej i tej samej przyczynie.

Przed każdą inną katastrofą, zesłaną nam przez przyrodę, uciec, schronić się można, przed temi dwoma zjawiskami niema ucieczki. Minut kilka, a zaludnione miasta znikają pod warstwą lawy i popiołu, gwałtownie wzburzone morze piętrzy się, wznosi i z szaloną siłą pochłania tysiące siedzib ludzkich, osiadłych na jego brzegach.

Nie zatarło się jeszcze wrażenie, wywołane trzęsieniem ziemi w Szemasze, gdy oto 8-go b. m. telegraf rozniósł po świecie grozą przejmującą wieść o wybuchu wulkanu Mont Pelée na wyspie Martynice i doszczętnem zniszczeniu miasta St Pierre, liczącego przeszło 30,000 mieszkańców.

Z czego powstają wybuchy wulkanów? jakie siły wywołują te straszne kataklizmy? Aleksander Humboldt określa wulkanizm jako oddziaływanie wnętrza ziemi na jej powłokę, reakcja zaś owa objawia się wybuchami, pozostałymi z nagromadzenia się we wnętrzu ziemi roztopionych kamieni, minerałów, skoncentrowanych gazów, gorącej pary i t. p.

Gdybyśmy codziennie, z całej powierzchni ziemi, otrzymywać mogli dokładne, ścisłe wiadomości, przekonalibyśmy się, że powierzchnia ta wciąż jest podległą podobnym zjawiskom, powstałym z reakcji wewnętrznej na powłokę zewnętrzną.

W nieśmiertelnym swoim „Kosmosie,” Humboldt tak się, między innemi, wyraża o wulkanicznych zjawiskach: „Spokój, jakim się na ziemi cieszymy, jest tylko pozorny. Trzęsienie ziemi, objawiające się w różnych strefach, wyłanianie się Szwecyi, powstawanie nowych wysp, ziejających wulkanami, aż nadto jasno dowodzą o bezustannej pracy, wrzającej we wnętrzu naszej planety.”

Aczkolwiek badania Humboldta pozostają dla geofizyki zawsze wielce doniosłemi, uległy one jednak z biegiem czasu pewnemu zmodyfikowaniu. Najznakomitszą pracą, traktującą o zjawiskach wulkanicznych, jaka ukazała się w ostatnich latach, jest wyczerpująca monografia Stübla, „O wulkanach na równiku.”

Stübel, ze względu na ich formację, dzieli wulkany na poligeniczne i monogeniczne. Pierwsze powstają siłą jednorazowego wybuchu i częstokroć nie mają wyraźnego krateru, albowiem wulkan taki wyłonił się z ziemi zanim masa, tworząca go, dostatecznie stwardniała i zastygła. Natomiast wulkany poligeniczne formowały się przez stopniowe, bezprzerwne osadzanie się pokładów ziemnych i skalistych i krater stanowi jeden z koniecznych warunków ich powstawania. Ogólnym kształtem wulkanu jest kształt stożka i dodać tu jeszcze należy, iż i każdy poligeniczny wulkan rozpoczął swe powstanie od monogenicznej podstawy.

Pomiędzy wulkanami rozróżniamy *czynne* i *wygasłe*. U wulkanów czynnych erupcje, czyli prace wybuchowe, występują po większej części peryodycznie. Peryody erupcji przerywane są peryodami zupełnego spokoju, podczas których trudno jest rozróżnić wulkan czynny od wygasłego.

Wybuchy następują w przerwach rozmaitych, krótszych i dłuższych. Etna daje znaki życia co 10 lub 15 lat, sąsiadujący zaś z Etną wulkan, Stromboli, nie odpoczywa nigdy. Wzmianki o wulkanie Stromboli sięgają 2-ech tysięcy lat i przez tyle wieków nie przeszła ani jedna godzina, w której by krater góry Stromboli nie wyrzucał z siebie kłębow dymu i gorącego popiołu.

Inaczej rzecz się ma z Wezuwiuszem, znany równie dawno jak Stromboli. Do roku 79 po Chrystusie, do wiekopomnego, strasznego wybuchu, Wezuwiusz uważany był za wygasły. Po roku 79-ym pozostał czynnym bardzo długo lecz ze znacznymi przerwami. W r. 1631 nastąpił drugi wielki wybuch, po którym Wezuwiusz odpoczywał lat 300. Od owego czasu przypomina o swym istnieniu co 3 lub 5 lat.

Podług najnowszych obliczeń, na kuli ziemskiej znajduje się wulkanów 672, pomiędzy temi 270 czynnych. Wulkany rozrzucone są bardzo nierównomiernie. W Europie, Azji i Afryce, zwłaszcza wulkany czynne, są mniej obfite. Najwięcej obfitują w nie ziemie znajdujące się na oceanie Spokojnym.

Wielkość wulkanów bywa rozmaita. Wysokość czynnych ulega często zmianie. Przy gwałtowniejszych wybuchach wierzchołek bywa bądź to zrzucany, bądź zapada się we wnętrze krateru. Niektóre wulkany w Andach, w południowej Ameryce, należą do najwyższych szczytów na świecie. Chimborazo dosięga 6,310, Sahama 7,015, Cotopaxi 5,993 metrów. Najmniejszymi czynnymi wulkanami są: Kosima w Japonii, liczący 225 metrów, i Mandana, na wyspie Santa Cruz 65 metrów. Wymiary kraterów niemają też stale oznaczonej wielkości. Średnica krateru Wezuwiusza wynosi 620 mtr. - Stromboli 670, - krater zaś wulkanu Kilauera na Hawaj dosięga w średnicy mtr 4,900.

Wybuch wulkanu jest jednym z najbardziej imponujących i najstrasniejszych zjawisk w naturze, poprzedza je zazwyczaj powtarzające się kilkakrotnie trzęsienie ziemi. Na krótko przed wybuchem daje się słyszeć w wulkanie szum, podobny do szumu wody, rozlewanej na rozżarzone węgle; szum ten wzmaga się stopniowo, aż wreszcie zamienia

się w gwałtowne gromy, do wystrzałów armatnich podobne. Krater wypełnia się powoli roztopioną, ogniem ziejącą lawą, która, wystąpiwszy z brzegów, spływa ze wszystkich stron góry, drobne pyłki popiołu napełniają powietrze, z krateru z olbrzymią siłą wyrzucane masy kamieni staczają się na ziemię i w dalekim rozsypują promieniu. Wszystko, co się znajduje w okolicy wulkanu, zostaje przy gwałtownym wybuchu zniszczone; roślinność, zwierzęta, ludzie i ich siedziby. Obok lawy gorącej i wody, obok śmiertelnych poisków, jakimi są z niesłychaną potęgą wyrzucane kamienie, obok gryzącego, duszącego dymu i popiołu, wytwarzają się jeszcze trujące pary siarkowe i kwasy.

Niektóre wulkany wydzielają lawę rzadką, potrzebującą długich miesięcy do zupełnego zastygnięcia. Przy stygnięciu wydzielają się różne substancje płynne, ogólnie fumarolami nazwane. Popiół wyrzucany z krateru, gnany wiatrem, pokrywa okolice na 1,500 kilometrów od wulkanu odległe.

Przyczyny wulkanicznych wybuchów szukać należy przede wszystkim w powiększeniu się objętości substancji płynnych, we wnętrzu ziemi zawartych, przy przemianie ich w ciała stałe.

Częściowe zastyganie zawartości tlomaczy peryodyczne wybuchy wulkanów.

Angielski fizyk, Robert Mallet, usiłuje wytłumaczyć zjawiska wulkaniczne przyczyną czysto mechaniczną. Według niego przyczyną owych zjawisk jest kurczenie się powłoki ziemskiej z powodu jej oziębiania się. Przypuszcza, że przy kurczeniu się owym powłoki, we wnętrzu ziemi powstawały i powstają próżnie, w które zsypują się leżące ponad niemi warstwy ziemi. Zsypywanie się to wywołuje silne tarcie, tarcie wywołuje gorąco, pod wpływem którego kamienie i inne ciała przechodzą w stan płynny. Jeśli na ową rozpuszczoną masę przedostanie się woda, przesiąkająca przez powierzchnię ziemi, przyczyna wybuchu gotowa. Według tej teorii, zjawiska wulkaniczne są rezultatem wiekowego ochładzania się zawiesz w przestworzu kuli, złożonej z wody i ziemi - i podległej prawom grawitacji.

Prawdopodobnie wulkan Mont-Pelée na Martynice, od setek lat pozostawał w absolutnym spokoju, najlżejsze trzęsienie ziemi nie ostrzegło mieszkańców przed straszną katastrofą. I właśnie na owym to spokoju polegał cały tragizm okropnego wypadku. Spokój ów porównać można do spokoju dusznej atmosfery, bezzawodnie poprzedzającej burzę. Tam, gdzie jak w Wezuwiuszu, ciągle powtarzają się wstrząśnienia, drobne zaś wybuchy utrzymują otwór w kraterze, podziemne potęgi wybuchowe stałemu ulegają osłabianiu i wulkan staje się mniej niebezpiecznym.

Po wielu badaniach, naturalisci doszli też do wniosku, że kulę ziemską porównać można do aneroidu, u którego zmniejszenie się ciśnienia zewnętrznego tlomaczy wzrost wydzielających się z wewnątrz gazów.

Jak dalece zawarte w ziemi gazy, wraz z ciśnieniem zewnętrznego powietrza, znajdujemy przykład w podróży Falba z 1874 r. Opowiada on, że będąc w Neapolu zwiedził w okolicy wulkan Solpatara. Solpa-

tara w Puzzuoli jest to płaski, wygasły wulkan, w którym jednakże małe otwory w ścianie krateru zdradza żar podziemny. Przez otwór od czasu do czasu wydobywają się drobne smugi dymu i gazów; reszta krateru pozostaje w zupełności ciemna.

Przewodnik Falba doprowadził go do środka krateru i tu zapalił kawałek papieru. W tejże chwili nie tylko w otworze, o którym była mowa, spotęgowały się smugi dymu, lecz poczęły się też ukazywać wzdłuż wszystkich ścian krateru.

Toż samo doświadczenie, z tem samem powodzeniem, powtarzali badacze na szczycie Wezuwiusza.

Wyjaśnienie tego zjawiska jest bardzo łatwe. Przez zapalenie papieru powstaje prąd nieco ogrzanego powietrza, unoszącego się w górę, na miejsce zaś tego ciśnienie się ze wszystkich stron powietrze chłodne, a więc cięższe. Przez to znów zmniejsza się ciśnienie zewnętrznego powietrza na krater i zawarte w nim gazy i pary ulatniają się łatwiej.

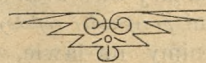
Jeżeli więc tak drobne zamącenie równowagi w atmosferze, jak zapalenie kawałka papieru, tak widoczny wywołuje efekt na gazy podziemne, łatwo wytłumaczyć sobie statystycznie stwierdzone fakty, że wielkie zjawiska wulkaniczne, jak również trzęsienia ziemi nader często przypadają razem z zaćmieniem słońca lub księżyca. Nader wyraźnie zaznacza się pod tym względem rok 1886-ty, w którym tylko dwa zaćmienia miały miejsce. Po zaćmieniu słońca w dniu 5-ym marca, 6-go nastąpiła katastrofa trzęsienia ziemi w Cosenza, a po zaćmieniu w dniu 29-go sierpnia przyszło trzęsienie ziemi w Philatra, w Grecji, trzęsienie ziemi w Charleston, w północnej Ameryce i gwałtowny wybuch wulkanu na wyspie Föön (na oceanie Południowym), po 30-letnim przeszło spokoju. Dużo można by podobnych, wcześniejszych i późniejszych, cytować przykładów.

Wybuch na Martynice miał miejsce d. 8-go b. m., dzień przedtem przypadało tam zaćmienie słońca.

Zestawienie tych faktów wyjaśnia się tem że siła przyciągania, jaką słońce i księżyc wywierają nie tylko na masy wód, lecz i na zawarte w ziemi roztopione ciała, gazy i pary, jest podczas zaćmienia najpotężniejsza. Jeśli więc nie uważamy zaćmienia za jedyną przyczynę, w każdym razie są one z niemi w związku i potęgują grozę przygotowywanej przez czas katastrofy.

Różne jeszcze są teorie i hipotezy w określaniu zjawisk wulkanicznych, zupełną pewnością mogliby badacze osiągnąć dopiero wtedy, gdyby przez długi szereg lat pilnie obserwowali kilka naraz kraterów, do tego atoli bardzo daleko. Dopiero włoskie wulkany doczekały się sumiennych i od dawniejszego czasu prowadzonych badań.

Z. S.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.



W. Wolski: „Nieznany m.” Warszawa, 1902, nakład księgarni Warszawskiej Spółki Wydawniczej. — Władysław Zalewski: „Skrzydła wicherowe.” Warszawa, 1902. Nakł. Gebethnera i Wolffa. — Leonard de Verdmon-Jacques: „Monografia miast w Królestwie Polskim.” Nakład autora. Warszawa, 1902.

Są poeci, którzy tworzą raczej dla samych siebie, niż dla tłumów: ich poezja bowiem nie ma w sobie tego, co serca wszystkich porusza i zniewala: podkładu uczuciowego... Chłodna refleksja, zimne szyderstwo, wzgarda dla wszystkiego, co od ludzi i świata pochodzi, — oto cechy takiej poezji, która może być najpiękniejszą — nie przeczymy, najczęściej jednak sprawia wrażenie czegoś nieszczerzego, robionego... Powiedzieliśmy: *sprawia wrażenie*, bywa bowiem i tak, że jest ona rzeczywiście szczerą, będąc odbiciem uczuć i przekonań osobistych autora, lecz — z natury swojej — nie podoba się ogółowi, który woli zawsze prostsze, bardziej sentymentalnie zaprawione piosenki swojskich liryków.

Poeta refleksji, szyderstwa i pogardy, naderemnie usiłującym niekiedy wlec się na skrzydłach wspomnień w kraj uczucia i marzeń, jest zarówno w poprzednich, jak i w ostatnim tomie swych wierszy p. Wacław Wolski, znany krytyk i poeta. Zgoda na trzy omawiane czynniki: rozumiemy refleksję, szyderstwa, nawet sarkazm wielkich poetów — bo w nich mamy potęgę i szczerą istotną, potęgę przekonującą, porywającą — ale u p. Wolskiego tej siły niema i jego refleksja jest najczęściej frazeologią, równie jak pogarda — nieszczerą. Mniejsza zresztą o tę nieszczerą: może to jest i szczerą, ale z tem wszystkim — blade i bez mocy. Wzgarda dla tłumów, przepalająca duszę poety, nie budzi w nas pokrewnego echa, ani współczucia nie budzi, a refleksja nie sprawia najczęściej żadnego wrażenia. Przyczyną tego jest język p. Wolskiego — dziwny, bombastyczny-patetyczny, sztucznie wyłamany i banalny, choć poeta sili się właśnie na kunsztowność i oryginalność.

Oto przykłady:

„Jak pijany jedwabnik błyszczącym kokonem omotałem się przedzą marzenia tęczową...” „Znienawidziłem wstrętne *«homo sapiens»* zwierzę, przepojone od wieków trucizną obłudy, nad własną zwierzęcością płaczące nieszczerze, targające w rozpacz włochaty łeb rudy” (sic!).

„Uciec przed codziennością szarzyzną banalną z pod pneumatycznego powszedniości klosza!... Niech siarczyście pioruny w nieszczęsną pierś palną, niech nad biednym tułaczem łbem pióra nastrosza potwórnooki puhacz...”

„Wepchnięte społem na kosmiczne tory planety, niby bilardowe kule, toczą się w mroków nieprzejrzanym mule, jak ampie płonąc różnymi kolorami...” (str. 69).

„Zatopionych w życiowych interesach gwarze nie wiedzie poezji melodia syrenia, ani wiecznie łaknący krwi tygrys wątpienia w małych duszach zatopi pazury swe wraże...”

„Zaś chwilami przychodzi refleksja do głowy, że to właśnie my śnimy na jawie, nie oni, uważani za ludzki materiał surowy... że to właśnie my w błogiej życiowej harmonii stanowimy dysonans z naszymi narowami upartego maniaka, co własny cień goni” (str. 77).

„W granitowym skupieniu sprawuje on czaty, zeskorpował w kamiennej martwocie oblicza niemowy, absolutu owiewa go podmuch lodowy, w uszach ryczy huragan piekielnej kantaty. Z osłupieniem wpatruje się w bezmiar daleki niedojrzanych perspektyw czwartego wymiaru... objawienia czekając jasnego uderu, kiedy będzie mógł zawrzeć kamienne powieki w trakcie bicia wieczności złotego zegaru” (str. 70).

Wyjątki przytoczone nie mają wcale na celu ośmieszania cenionego poety — (bo, mimo wszystko, jest nim Wacław Wolski); pragniemy tylko na zasadzie tych cytów przekonać naszych czytelników i objaśnić, dlaczego poezje p. W. Wolskiego nie mają prawa, nie mogą liczyć na szeroką poczytność.

To trudno; dla tłumów trzeba pisać zrozumiale.

Umyślnie popodkreślaliśmy niektóre przenośnie i wyrażenia poety, aby zwrócić na nie uwagę czytelników: nie są to zgoła myśli lub obrazy, czy wreszcie słowa poetyczne: to jest najtrywialniejsza gmatwanina pojęć, frazesów bez celu, a często i bez związku. Cały cykl: „Mistica,” pomimo dobrej budowy architektonicznej i pewnej pretensji do głębszej myśli, przepada dla czytelnika, odstrasza go, nie czyni na nim wrażenia żadnego.

Najzwyczajniejsza proza: „życiowe interesy,” „w trakcie,” „włochaty łeb rudy” — ale nie poezja, nie obrazowanie.

O ile jednak omawiany poeta nie sili się na tworzenie rzeczy niezrozumiałych, nadzwyczajnych — o ile jest sobą i odbicie myśli i uczuć swoich dać nam zechce — jest istotnym poetą, a nie kuglarzem słowa i rymów, jak w sonetach z cyklu: „Mistica,” gdzie czytelnik gubi się w chaosie myśli i pojęć, stwarzanym przez autora, nie rozumiejąc go zgoła. P. W. Wolski bywa poetą, — dowodzą tego jeszcze całe cykle sonetów o doskonałej budowie i dobrze pomyślanych, „Studia pejzażowe,” „Z głębi duszy” i inne drobne urywki, poetyczne i szczerze; dlaczego więc przychodzi mu czasem ochota pisać frazeologią swą odstręczającą piosenki i pomieszczać w czasopiśmie, a — co gorzej — włączać do tomu, nie mamy pojęcia: być może, uważa on je za lepsze od tych prostych, niewyszukanych, ale — naszym zdaniem — najpiękniejszych piosenek autora „Wzlotów na Parnas,” z piosenek o szarej Wiśle, cichych jeziorach i zadumanej nocą — umiłowanej snąć przez poetę — Warszawie.

Pan Władysław Zalewski od kilku już lat usiłuje się wdrzeć na Parnas: teraz oto chce tam wlec się na „skrzydłach wicherowych.” O ile dawniej były to tylko nieudolne wzloty, o tyle dziś są to już próby dość szczęśliwe, a — w każdym razie — zapowiadające dalszy i pomyślniejszy rozwój zdolności rymotwórczych autora.

Usilna, staranna praca lat kilku zrobiła z p. Zalewskiego twórcę, gdy dawniej był jedynie — *excusez le mot* — grafomanem. I „Do niej” i „Dziad” i inne wybryki muzy p. Zalewskiego zasługiwały na skarcenie; dziś do „Skrzydła wicherowych” nie można się odnosić z takim lekceważeniem. Nie jest jeszcze poetą p. Władysław Zalewski, ale już jest rymotwórcą nienajgorszym i ma w ostatnim swoim tomiku — ślicznie wydany — parę ładnych utworów, zasługujących na przeczytanie. Obrazowanie jeszcze mgliste, mętne, porównania

mało poetyczne i nie zawsze szczęśliwe, język często bez siły, ale jest pewna staranność, dbałość o formę, dużo pomysłów, szczerłość niezaprzeczoną — a to wszystko dobrze świadczy o młodym rymopisie.

W życiu — jak w życiu — więcej łez i smutków, niż radości i uśmiechów: zaznał też cierpień i młody pieśniarz, a echa tych cierpień znajdujemy w poezjach: „Nie mam łez,” „Przewodnik mój” i inne. Wcale ładną strofę z cyklu takich wierszy mamy w sonecie (na str. 33):

„Idzie ból mój... Ma w piersiach ból mój krwawą ranę, i cierniową koronę ma ból — zwiesił głowę, i idzie, i te skrzydła wlecze potrzaskane, ie skrzydła, co się sniły ogromne, wicherowe...”

Ze snów takich budzić się — boleśnie jest i ciężko, nie więc dziwnego, że poeta „kona powoli,” że „łka w nim dusza,” gdy oczyma smutnymi spogląda na świat rzeczywistości. Ale bywa to rzadko: oblicze ukochanej woła go znowu do życia, budzi duszę, pokrzepia serce... Wtedy wpada w zachwyt i modli się „do Niej,” jak do świętej i przypomina wszystkie wspólnie przepędzone chwile, kiedy to „szli przez ogród słoneczny, jak we śnie, kędy kwiatami złote słońce prósz...”

Poezje Władysława Zalewskiego zasługują na pewną pochlebną wzmiankę, choćby z względu na zapał, z jakim młody rymopis pracuje nad sobą i z jakim dąży wciąż w jednym kierunku, starając się stać godnym umiłowanej przez siebie Poezji; — życzyć mu też należy, aby praca ta wydała owoce.

A teraz porzucmy na chwilę świat marzeń i poezji, aby wraz z p. Leonardem de Verdmon-Jacques'em, znanym i utalentowanym publicystą udać się w podróż i zwiedzić wszystkie miasta, miasteczka i osady w Królestwie Polskim i poznać ich historię, położenie geograficzne i stan ekonomiczny. Zaczniemy od Adamowa (gub. Siedleckiej) i zwiedzimy tak wszystkie miasta i miejsciny w liczbie czterystu kilkudziesięciu, aż do Żyrardowa. W książce p. de Verdmon-Jacquesa (L. V. Jacques: „Monografie miast”) znajdujemy szczegółowe dane o każdym z tych miast, dane możliwie wyczerpujące; naturalnie, tak historia, jak i ekonomiczny stan każdej miejscowości są tu przeważnie streszczone, bo inaczej dzieło to doszłoby do rozmiarów „Słownika geograficznego” — a to nie leżało w zamiarach autora — i stałoby się niedostępnym dla szerszej publiczności, gdy tymczasem teraz, jako podręcznik-informator, może być i będzie pomocną dla przymysłowca, kupca, urzędnika, lekarza i t. d., słowem, dla każdego, kto pragnie zaokrąglić swą wiedzę znajomością historii i geografii, kto chce urządzać wycieczki po kraju i t. p.

„Monografia miast” — jako taki podręcznik, winna się rozpowszechnić szybko i szeroko. Być może, w książce, są tu i ówdzie drobne usterki, gdyż inaczej autor nigdy nie mógłby skończyć i wydać swojej książki i musiałby ciągle czynić w niej poprawki, stan bowiem miejscowości dany, ich ustrój i t. p. zmienia się ciągle. Całość jednak nie pozostawia nic do życzenia.

Ze względu na cenę i objętość swoją, nie dla każdego jest dostępny „Słownik geograficzny,” gdy tymczasem dzieło de Verdmon-

Jacques'a, grube, ładnie wydane, kosztuje stosunkowo niedrogo. To też sądzimy, że nie potrzebujemy polecać „Monografii” czytającemu ogółowi; sama się ona zaleca.

Tadeusz Kończyc.



Kronika działalności kobiecej.



— W lokalu szkoły, prowadzonej przez s. p. Bronisławę Poświkową, a pozostającej dotychczas pod kierunkiem tych samych sił artystycznych, które pracowały wspólnie ze s. p. Poświkową, urządzono wystawę z prac pozostałych po pracowitej i przedwcześnie zgasłej przewodniczącej.

Cały jeden pokój wypełniony został owymi pracami, należącymi po większej części do sztuki stosowanej, z takim zamiłowaniem uprawianej przez s. p. Poświkową.

Sprzęty w secesyjnym stylu, malowane akwarelami, olejno, nakładane emaliami, — odrębne pojedyncze sztuki, albo małe komplety umeblowania, — drobiazgi rozmaite, *panneaux*, przedstawiające śliczne, rozrzucone kwiaty, bardzo oryginalne balony szklane, malowane w gałęzie i kwiaty i t. p. przedmioty, służące ku ozdoboieniu mieszkania. Ceny umiarkowane i nowosć w pomysłach powinny być przyciągającą siłą, nie mówiąc już o tem, że każdy, nabywając po s. p. Poświkowej jakiś przedmiot, zachowa miłą pamiątkę po dzielnej artystce i zacnej kobiecie.

— Teresa Labriola, która w roku 1900-ym pierwsza z kobiet we Włoszech otrzymała stopień doktora praw, została przed niedawnym czasem docentem z tytułem „profesora” przy uniwersytecie w Rzymie. U nakładcy Hermana Loeschera w Rzymie wydała obecnie książkę, poświęconą kwestyi kobiecej „La donna nella società moderna.” Młoda uczona jest jedyną córką znanego we Włoszech profesora filozofii, Antonia Labriola, brat jej, Alberto Francesco, jest również docentem przy katedrze prawa, i dziwnym zbiegiem okoliczności stało się, że ojciec, syn i córka zajęci są czynną i zaszczytną pracą przy jednym i tym samym Uniwersytecie. Wspomniana powyżej książka Teresy Labriola obejmuje historyczno-statystyczny rozwój ruchu kobiecego, zwłaszcza od czasu wielkiej rewolucyi. Autorka zapatruje się na kwestyę kobiecą nie tylko z punktu socjalno-ekonomicznego, lecz

i moralnego, podnosząc etyczną wartość emancypacji i dowodząc, że ani wyższy rozwój umysłowy kobiety, ani jej samodzielne stanowisko w świecie nie zagrażają bynajmniej rodzinie i domowym cnotom dobrej żony i matki.

— Wykłady języka łacińskiego, od lat kilku zaprowadzone w gimnazyach żeńskich w Peszcie, jak najlepsze wydały rezultaty. Profesor, doktor Rudolf Toth, wykazał drogą porównawczą, że czteroletni kurs łaciny w gimnazyach żeńskich więcej przyniósł korzyści, aniżeli ośmioletni kurs w gimnazyach męskich.

— Kursa gimnazjalne dla kobiet w Berlinie, zamienione zostaną z początkiem roku szkolnego, t. j. po letnich feryach w roku bieżącym, na kursa gimnazjalne, realne. Ukończenie tych kursów daje uczniom prawo wstępowania do wyższych szkół handlowych bez składania osobnych egzaminów.

— Pod przewodnictwem Amerykanki, Miss Bond, studia archeologiczne, prowadzone na wyspie Krecie, uwieńczone zostają coraz nowymi, cennymi dla nauk zdobyczami. Nowo odkryte wykopaliska przedwiekowego miasta, przedstawiają wielkie bogactwo starożytnych zabytków.

— Niezadługo zapewne nie będzie nigdzie braku kobiet-lekarzy. We wszystkich prawie uniwersytetach kobiety dopuszczone są na kursa medycyny i liczba ich ciągle się powiększa. We Freiburgu, np., gdzie do niedawna kobiety wcale nie uczęszczały do uniwersytetu, w obecnej chwili aż sześć jednocześnie składały egzamin.

— W Ohio, w Stanach Zjednoczonych, gdzie kilku właścicieli fabryk starało się o usunięcie żeńskich inspektorów fabrycznych, nałożono znaczne kary na tych fabrykantów, którzyby wzbraniali wstępu do swoich zakładów inspektorom-kobietom.

Z. S.



Kursa 10-dniowe Ogrodnictwa i Pszczelnictwa.

Towarzystwo Pszczelnictwo-Ogrodnictwo w Warszawie, Wiejska, 12, ogłasza niniejszem, że jak lat ubiegłych, i w roku bieżącym, odbędą się w lokalu, ogrodach i pasiece Towarzystwa kursa 10-dniowe dla tych, którzyby pragnęli obeznać się praktycznie z najpoważniejszymi czynnościami w ogrodzie i pasiece.

Kursa rozpoczną się dnia 10-go czerwca o godzinie 10-ej rano i trwać będą do 20-go t. m. włącznie z programem następującym:

Program ogrodnictwa:

a) Sadownictwo: 1) Sposoby uszlachetniania drzew owocowych, 2) Hodowla szczepów w szkółce (do uformowania koron), 3) Sadzenie drzew w sadach, 4) Zasilanie drzew owocowych nawozami naturalnymi i sztucznymi, stałymi i płynnymi, 5) Rozmnażanie krzewów owocowych.

b) Warzywnictwo: 1) Urządzanie zagonów, 2) Siew warzyw, 3) Przygotowanie rozsąd warzywnych, 4) Znaczenie, przygotowanie i stosowanie kompostów.

c) Kwiaciarnictwo: 1) Dobór roślin odpowiednich do urządzania najprostszyc kwiatników i rabat, 2) Wzory kwiatników i rabat.

Program pszczelnictwa:

1) Życie roja w stanie natury i wskazówki ztąd dla praktyki, 2) Warunki, jakim powinien czynić zadość ul dobry, 3) Ul ramowy Warszawski i ul bezdenek poprawny, 4) Treściwe wskazówki prowadzenia pszczół na wiosnę, 5) Zbieranie i osadzanie rojów naturalnych; zapobieganie porójkom, 6) Najprostsze sposoby robienia rojów sztucznych, 7) Wyzyskiwanie pszczół na miód, 8) Warunki dobrego zazimowania pszczół.

Oplata wynosi rubli 10. Włoszcianie bezpłatnie.

Z powodu zbyt dużej ilości słuchaczy tych kursów, uczestnicy ich z pomiędzy drobnych rolników będą w r. b. oddzieleni; dla tych kursa odbędą się w kolonii Towarzystwa „Pszczelina”, gdzie oprócz ogrodnictwa i pszczelnictwa będą pokazy narzędzi rolniczych, wszystkich upraw rolnych i pól doświadczalnych.

Treść numeru:

Na werendzie (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Przysiań, powieść współczesna, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu „Sobieski pod Wiedniem”), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej (ciąg dalszy). — Wystawa darów M. Bersona, przez Z. S. — Południe (wiersz), przez Zygmunta Różyckiego. — Kobieta-doktor w XIX-ym wieku: Florencia Nightingale, przez B. K. — Zjawiska wulkaniczne (kilka słów o nich z powodu katastrofy na Martynicy), przez Z. S. — Przegląd piśmienniczy, przez Tadeusza Kończycę. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kurs 10-dniowe Ogrodnictwa i Pszczelnictwa. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz drugi powieści R. Monlaur'a p. t. „Promień,” w przekładzie M. ...tz.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 33).

Patentowany angielski PLATINUM ANTI-GORSET,

premijowany na wszystkich hygienicznych wystawach Europy.

GŁÓWNE JEGO ZALETY SĄ:

- Że nie posiada brykli i bocznych stałek, gdyż Platynowe zapieczętowanie nowej konstrukcji w zupełności takowe zastępuje
- może być każdej chwili wyprany jak zwykła bielizna, gdyż Platinki mogą być momentalnie wyjęte i wstawiane bez prucia i szycia;
- Platinki są elastyczne, miękkie, lekkie, plecione jak włos, nie rdzewieją, nie łamią się nigdy i dla tego każda dama może swobodnie takowy przez dzień cały nosić, nie doznając najmniejszego ciśnienia na organizm;
- Materiał gorsetu jest mocny, kolor trwały, a przez brak części stalowych zyskuje dużo na lekkości;
- Przez swój dobry fason i odpowiedni krój gorset nasz daje się do każdej figury zastosować;
- Osoby brzemiennie mogą dowoli gorset nasz rozszerzyć lub zwęzić, karmiąc zaś, nie rozpinając — karmić;
- Ażeby zaznajomić jaknajwiększy ogół z naszym udoskonalonym **Platinum Anti-Gorsetem**, naznaczyliśmy na takowy możliwie niskie ceny, a mianowicie: **L. rub. 4.85, L. W. z walansjenką rub. 5.35, Cze-Czu-Cza rub. 5.50, C. C. z walansjenką rub. 5.95, Kanwowy 6.50, Batystowy 6.50, Tiulowy Azur z walansjenką rub. 7.** Dla brzemiennych, karmiących, oraz bardzo pełnych 50 kop. drożej;
- Anti-Gorset** wysyła się na żądanie za zaliczeniem pocztowem z doliczeniem 50 kop. na przesyłkę i opakowanie, przy obstalunku zaś 3-ch sztuk, wysyłka uskutecznia się **franco.**

Do obstalunku należy dołączyć szerokość jednej połowy noszonego gorsetu w piersiach, talji i biodrach, mierząc one połowę na stole werszkami, centymetrem, i lub tasiemką, albo też donieść numer noszonego gorsetu.

Panie gorsetów nie używające, zechcą przysłać, mierząc wokół pod pachami: 1) pełny obwód w piersiach, 2) pełny obwód talji, 3) długość boku (od pachy) do talji. **Gorsety wysłane pocztą zamieniamy, wysyłając je na swój koszt, jeżeli okażą się nieodpowiednimi.**

Wyłączna sprzedaż na całe Cesarstwo i gub. Królestwa Polskiego w fabrycznym składzie „HYGIENA” w Warszawie, Bielańska № 18.

Adres dla listów: „Hygiena”, Warszawa. Patent 10-letni na całe Cesarstwo za № 1324.



